

Tak było na wsi wielkopolskiej

W jednym z PGR-ów pod Obornikami, załoga spowodowała odwołanie dyrektora za jego niewłaściwy stosunek do ludzi i zaniedbania spraw socjalno-bytowych. Przypomniałem sobie o tym drobnym na pozór wydarzeniu rozmawiając z Janem Szczepaniakiem, emerytowanym robotnikiem z PGR Zimnowoda pow. Gostyń. Szczepaniak liczy dziś blisko 70 lat. Wyjawszy lata wojacki, całe swoje życie spędził w tutejszym majątku.

W tym wieku wiele wydarzeń zacierają się w pamięci, a wspomnienia młodości łączą się ze wspomnieniami krzepy w ramionach i buńczucznej postawy wobec trudności folwarcznego życia.

— Ech, panie, miał człowiek dawniej się. Żadnej roboty się nie bał. Kosa sama chodziła w rękach, a snopki śmigały na sterze, że nie nadążył ich policyć. A gdy tak dostało się jeszcze parę kieliszków, ho, ho!

— Dostawaliście wódkę przy pracy?

— Nie zawsze, nie. Ale gdy robota była pilna, np. przy żniwach, to pan przynosił często na pole bańkę ze spirytusem, bo przecież w folwarku była gorzelnia. To jak się bractwo po paru kieliszkach zabrało do roboty, to jeden prześcigał drugiego.

Dziadzio Szczepaniak nie bardzo rozumie, że owe „poczęstunki” nie miały nic wspólnego z gestem przyjaźni czy z uznaniem dla ciężkiej pracy; że był to wypróbowany sposób przyćmienia obronnych reakcji zmęczonego wysiłkiem ludzkiego organizmu.

Z zakamarków pamięci wydobywa Szczepaniak różne zdarzenia, a wśród nich wielką akcję strajkową w 1922 roku, w której udział przyjął areszt.

— To był „czarny strajk”, to znaczy nie karmiliśmy pańskiego inwentarza. Więc gdy nasze było wypędziliśmy na pastwisko, obszar zaczął je spędzać przy pomocy żandarmów i bojówkarzy z Bractwa Kurkowego. Doszło do starcia. Żandarmi okładali nas płazem szablastym, aleśmy ich pościgali z koni i rozbroili. Potem zaczęły się aresztowania i w Koźminie przesiedziałem 6 tygodni...

Widać niechętnie wraca Szczepaniak do tamtych lat, skoro jego córka — żona PGR-owskiego traktorzysty, nie słyszała o tych wydarzeniach. Nie wiedziała również co to takiego owe „terminatki” — słowo przewijające się często w opowiadaniu ojca. Z niechęcią zdumieniem dowiaduje się, że taki „sterminatowany” robotnik folwarczny pozostawał wraz ze swą rodziną bez dachu nad głową i jakichkolwiek środków do życia, bo ustawa o ochronie lokatorów nie dotyczyła służby folwarcznej; że największą liczbę stanowili wśród nich ci, którzy pracowali w danym majątku ponad 25 lat. Wydalano ich dlatego, by obszar nie był zmuszony do płacenia im renty starczej lub odszkodowania z tytułu powstałego w czasie służby inwalidztwa. W latach 1926—28 wydano w majątkach wielkopolskich 20.510 terminatek, a w dniu 1 stycznia 1933 roku zostało zwolnionych 20.000 robotników.)

W latach, o których wspomina Szczepaniak, do wyjątków należał majątek, w którym określone umową zbiorową należności w pieniądzu i tzw. deputaty wypłacano w terminie. W majątkach hr. Bnińskiego (b. wojewody poznańskiego) z reguły zalegano z wypłatą za rok i więcej. Nie lepiej działało się we włościach hr. Mielżyńskiego, właściciela dóbr Dakowsko-Wojnowickich, składających się z siedmiu folwarków o powierzchni 2625 ha. Pracowało w nich 577 robotników. Załagłości niewydanych deputatów i zapłaty gotówkowej na dzień 30 czerwca 1932 r. wynosiły tam 233.579 zł. Zostały one uregulowane dopiero dzięki kilkakrotnym strajkom.

Robotnicy państwowego majątku Lewice pow. Międzybóże postanowili przestać pracować, bowiem znajdowali się w skrajnej nędzy. Zastosowali metodę biernego oporu. Hr. Ledóchowska, właścicielka ordynacji Będlewo-Wronczyn, zaprzęgnęła strajkujących spłacać zaległości należności ziemią, licząc za hektar lłych gruntów na skraju lasu po 1200 zł.

*) Wł. Rogala — Szkice z życia robotników rolnych w Wielkopolsce — str. 68—80.

O bojach i procesach w celu wyegzekwowania należności w majątkach: Otoczna, Chocicza, Babin, Siemakowo, Paruszewo i innych — opowiada w swoich wspomnieniach Adam Drabiński, stary działacz Związku Robotników Rolnych.

„Były wypadki — wspomina A. Drabiński — że psami mnie szczuto, a do takich należeli jaśnie pan Chrzczanowski z Unii pow. Września, Bronisz — szwagier prezydenta Mościckiego, Rittmeister — Niemiec z Babina i szereg innych. (...) Kiedy zwróciłem się do jaśnie pana Bronisza o wypłacenie zarobków na mocy wyroku, wyrzucił mnie za drzwi i poszczuł psami (...) Podobnie postępowali inni obszarnicy. Trzeba było przeprowadzić zajęcia przez komornika. Po raz pierwszy dokonałem zajęcia razem z komornikiem sądowym ustawionych stert w r. 1933 i to w majątku Otoczna, Babin i Paruszewo. Niestety, obszarnicy oświadczyli pracownikom: „żebyście pozdychali, nie dostaniecie nic”. I dotrzymali słowa. Poruszyli wszystkie urzędy i sądy, powołali sędziów nie zaprzysiężonych rzeczoznawców, którzy z polecenia tego samego sądu, co wydał wyroki egzekucyjne na zapłacenie wynagrodzenia, dokonali oszacowania majątków jaśnie panów i orzekli, że zajęte sterty i inne przedmioty nie mogą być sprzedane, ponieważ wystarczają zaledwie na potrzeby bieżące prowadzenia majątku. Naturalnie sąd poszedł na rękę obszarnikom i zajęte przedmioty uchylił od licytacji. (...) Niezależnie od niewypłacalności zarobków, były na porządku dziennym stałe zwolnienia pracowników. Wśród roku służbowego za bylejakie przewinienie następowały eksmisje wdów i sierot po pracownikach. Przeciwnie temu występowałem przed Sądem Grodzkim. Jednak sądy przede wszystkim szły na rękę dziedzicom.”

Jan Szczepaniak z Zimnowody zażywa dzisiaj spokojnego wypoczynku. Skromna lecz pewna renta, świadczenia w naturze, działka pod ziemniaki, przyzwoite mieszkanie, zapewniają mu i jego żonie spokojną, wolną od trosk starość.

Jan Drabiński pozostał wierny swej pracy działacza związkowego, będąc przewodniczącym Oddziału Związku Zawodowego Pracowników Rolnych we Wrześni.

*) J. W. — str. 79—82.

Dariusz Piątkowski

Sputniki na... kółkach

Wśród 85 modeli całego świata demonstrowanych w tym roku na wiosennym Salonie Samochodowym w Genewie, po raz pierwszy znalazły się radzieckie „Wołgi” i „Moskwice”. Nie zrobiły tzw. furory, nie wywołały sensacji rozwiązaniami technicznymi, czy szczególnie luksusowym wyposażeniem. Ale za to przed stawiciele radzieckiej centrali handlowej powrócili do Moskwy z największą — w porównaniu z innymi uczestnikami Salonu — ilością propozycji eksportowych.

Radzieckie samochody zdobyły uznanie ze względu na ich solidne wykonanie, moc, ekonomiczne zużycie paliwa i — co chyba nie miało ważnego — na stosunkowo niskie, w przeliczeniu oczywiście na dolary, ceny.

Już w tej chwili na przykład blisko 40 procent „Moskwicz” produkuje się na eksport. Wyjeżdżają one z radzieckiej stolicy do prawie 50 krajów na wszystkich niemal kontynentach. Zamówienia eksportowe rosły, zwiększa się też ilość wozów dostarczanych na radziecki rynek wewnętrzny. W ubiegłym roku moskiewska Fabryka Samochodów Małolitrażowych wyprodukowała 75 tys. wozów — w przyszłym roku zwiększyć ma dostawy do co najmniej 90 tysięcy.

W przyszłym roku będą to już wyłącznie nowe modele „Moskwicz 408”. W porównaniu z obecnie produkowanym wozem otrzymają one zarówno nowe, powiększone nieco, wygodniejsze nadwozia, jak

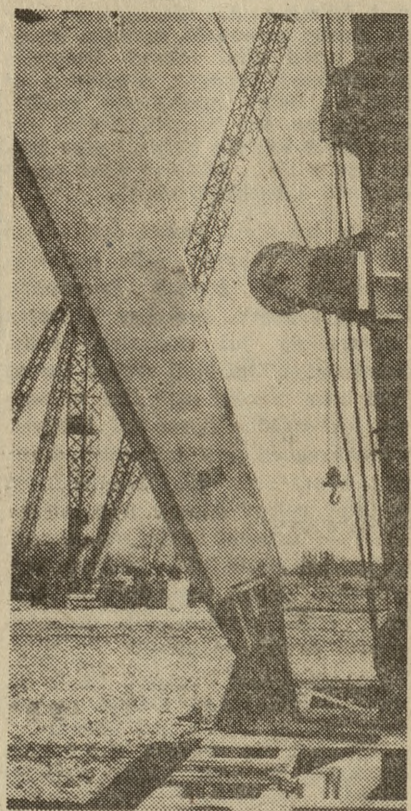
tygodnia

ROZGLĄDY POLEMIKI POSTULATY

NR 133 3. V. 1964 Rok IV

Aby uprzytomnić sobie, jak wielką drogę przebyliśmy w dziedzinie oświaty w ciągu 20-lecia, trzeba uciec się do liczb, których wymowa przemawia sama za siebie. Trudno oczywiście mówić o wszystkich galeziach naszej oświaty; zatrzymamy się więc tylko nad niektórymi problemami szkolnictwa podstawowego. W Polsce międzywojennej tylko 33 proc. ogółu szkół powszechnych realizowało normalny, pełny program szkoły powszechnej, a według danych z roku szkolnego 1938/39 na każdą piątkę dzieci w wieku szkolnym tylko czworo uczęszczało do szkół.

Przed II wojną światową istniały w Polsce szkoły powszechne trzech stopni. Szkoła I stopnia obejmowała elementarny zakres wykształcenia ogólnego. Nauka w niej trwała 7 lat; klasa trzecia była dwuletnia, a czwarta trzyletnia. W roku szkolnym 1937/38 na ogólną liczbę 27 238 szkół było szkół I stopnia aż 18 404, a tylko 4379 szkół 7-klasowych realizujących pełny program. W tym czasie w województwie poznańskim było ogółem 2193 szkół powszechnych.



Konstrukcje Fot. — CAF

Dr Mieczysław Prażmowski

Droga postępu oświaty

w tym I stopnia 1639, II — 268, a III — 286. Tylko 13 proc. ogółu szkół realizowało w województwie poznańskim pełny program szkoły 7-klasowej, a więc o 20 proc. mniej niż w skali ogólnopolskiej, a tylko o 5 procent więcej niż najbardziej pod tym względem zaniedbane województwo poleskie. 70 proc. szkół na wsi to szkoły o 1 i 2 nauczycielach, a około 75 proc. dzieci chłopskich nie dochodziło do kl. VI w ogóle. Wytyczne odnoszące się do organizacji roku szkolnego wydane w 1945 r. znosiły podział szkoły podstawowej na 3 stopnie organizacyjne i wprowadzały wszędzie jednoklasowe klasy. Ostatecznie organizację szkolnictwa w okresie przejściowym uregulował dekret Prezydium Krajowej Rady Narodowej z 13.11.1945 r.

Ogółem w wymienionym roku było w szkołach podstawowych 353 670 dzieci i 55 653 dzieci w specjalnych kompletach, z których korzystały te, które w wieku szkolnym ze względu na brak przygotowania nie mogły uczęszczać do klasy odpowiadającej swojemu wiekowi, aby po roku a najdalej po dwóch dorównać swoim rówieśnikom.

W następnym roku szkolnym (1946/47) liczba dzieci w szkołach powszechnych w województwie poznańskim wzrosła do 371 690, zmniejszając się natomiast liczba dzieci na specjalnych kompletach do 33 449.

Rok szkolny	Ogółem	Szkoły z najwyższą klasą			
		IV	V	VI	VII
1954/1955	2.085	477	341	150	1.147
1956/1957	2.042	408	313	83	1.238
1958/1959	2.127	466	300	64	1.297
1959/1960	2.297	504	279	42	1.454

Jak wynika z powyższej tabeli w okręgu szkolnym poznańskim wyraźnie zaznacza się systematyczny wzrost liczby szkół w ogóle, a szkół z najwyższą klasą siódmą w szczególności. W tej chwili, to jest w roku szkolnym 1963/64 mamy łącznie z m. Poznaniem 1538 szkół siedmioklasowych, w tym 1223 na wsi. Są to przeważnie szkoły niżej zorganizowane, w których uczą mniej niż 6 nauczycieli. Wiele z tych szkół nie ma możliwości dorównania swoim poziomem miejskim szkołom siedmioklasowym, co ma swoje konsekwencje przy przechodzeniu dzieci szkół wiejskich do szkół średnich wszystkich typów.

Z zagadnieniem sieci szkolnej wiąże się sprawa realizacji obowiązku szkolnego. W 1958 r. w województwie poznańskim nie uczęszczało do szkół podstawowych i nie ukończyło ich 9243 dzieci (aż 5332 bez uzasadnionej przyczyny). Walka z liberalizmem i pobłażaniem w tej dziedzinie doprowadziła do pozytywnych rezultatów. Według ostatnich danych nie uczęszczało bez usprawiedliwionych przyczyn do szkoły podstawowej w roku

szkółnym 1963/64 już tylko 650 dzieci, co stanowi 0,15 procent ogółu dzieci.

W roku 1938 uczyło w szkołach podstawowych naszego województwa 6112 nauczycieli, w roku 1945, 4950, ale już w dwa lata później — 8105. Dziś mamy w tym typie szkolnictwa 13.736 nauczycieli, a więc przeszło 2 razy więcej niż w roku 1938, podczas gdy liczba dzieci wzrosła z 345 tysięcy do 417 tysięcy.

Szkola podstawowa daje minimum wykształcenia ogólnego, jakie winien posiadać w obecnych warunkach każdy obywatel Polski Ludowej. Dlatego też szkoła podstawowa w pierwszym rzędzie doznaje stałe tyle troski i opieki ze strony władz partyjnych i rządowych na szczeblu wojewódzkim i centralnym.

Dalszym wyrazem troski państwa o podniesienie poziomu powszechnego nauczania jest zamierzona reforma szkolnictwa podstawowego. Koncepcja powszechnej szkoły 8-klasowej znajduje dopiero teraz właściwe warunki do pełnej realizacji. Przygotowuje się już odpowiednie warunki tak w zakresie bazy materialnej jak i w dziedzinie kadr nauczycielskich.

zawieszenia. Nie przewiduje się natomiast, ani w bieżącym roku, ani zapewne w 1965, wprowadzenia nowej karoserii tego wozu.

Radziecki przemysł samochodowy powstał w 1924 roku. Wówczas to w moskiewskich zakładach budowano miesięcznie po 10 — dość prymitywnych ciężarówek — „AMO F-15”. Obecnie produkcja samochodów ciężarowych przekroczyła w ZSRR 400 tysięcy sztuk rocznie. Jeśli idzie o interesujące nowości, zapowiedziane przez fabryki na bieżący rok, to chyba „najciekawsza” będzie ciężarówka „Białoruś” tzw. „Baz 54W”, produkowana w nowych zakładach w Żodynie koło Mińska. Będzie to wóz o ładowności 65 ton. Jego silnik ma mieć 540 koni mechanicznych. Przy pełnym obciążeniu „Białoruś” jechać może z szybkością 50 km/godz.

W moskiewskiej fabryce im. Lichaczowa rozpoczęto już seryjną produkcję 5-tonowych „Zil 130”, rozwijających prędkość ponad 100 km/godz. Rozpoczęto także budowę specjalnych ciężarówek „E 167” przeznaczonych do pracy w warunkach polarnych, do jazdy po lodzie i śniegu. Przy obciążeniu 5 t. wóz np. na metrowym śniegu jechać może z szybkością 30 km/godz.

Osobny rozdział to budowa nowych typów — autobusów dla komunikacji miejskiej. Dotychczas są to wozы stosunkowo niewielkie, zabierające po 30—60 pasażerów. Produkuje się je, wykorzystując podwozia i silniki 5-tonowych ciężarówek. Aby zapewnić sprawna komunikację np. na trasę w Moskwie trzeba kierować b. dużą ilością mało pojemnych autobusów.

Obecnie odchodzi się od tego starego typu. W fabryce w Likińcu rozpoczęto już budowę pierwszych serii wozów „Liaz 677”, które zabierać będą po 110—120 osób i rozwijać szybkość do 85 km/godz.

Nowe samochody na taśmach produkcyjnych

rancja opiewa obecnie na 15 tys. kilometrów lub 9 miesięcy eksploatacji. „Moskwicz 408”, według nieoficjalnych wypowiedzi przedstawicieli kierownictwa fabryki, mają mieć gwarancję na 12 miesięcy i 20 tysięcy kilometrów.

„Zaporożec”, to samochód wywołujący w Związku Radzieckim najwięcej sporów i dyskusji. Odzywały się głosy, iż ze względu na ekonomiczność należy zaprzestać produkcji tego „mikrusa”. Ostatnio jednak zapadły odmienne decyzje. Produkcja będzie utrzymana, tyle iż ze starego „Zaporożca” pozostanie właściwie jedynie... nazwa. Nowy model otrzymał zupełnie inną, prostą, nowoczesną karoserię, 28-konny czterocylindrowy silnik chłodzony powietrzem i pozwalający na jazdę z szybkością 100—110 km/godz.

obecnie badania; seryjna produkcja ruszy zapewne w drugiej połowie bież. roku. Wozы te ważą po ok. 500 kg, silniki — podobnie jak „Zaporożec”, mają umieszczone z tyłu. Motor benzynowy o mocy 15 KM pozwala rozwijać szybkość do 75 km/godz. przy zużyciu zaledwie 4,5 litra paliwa na 100 kilometrów.

Modernizuje się również „Wołgę”. W gorkowskiej fabryce wykonano pierwszą serię wozów bez gaźników. Zastąpiono je urządzeniem elektrycznym i półprzewodnikowym nadajnikiem, regulującym w silniku dopływ oraz ciśnienie powietrza i paliwa. Dzięki nowemu urządzeniu zwiększono moc silnika z 70 do 85 koni mechanicznych. Inna zmiana w „Wołdze” to udoskonalenie systemu ogrzewania i rozrusznika oraz wzmocnienie resoru tylnego

Dokończenie

Nawet lepiej tak. W ten sposób gospodarz miał oboje na oku. Dziewczyna nie mówiła nic, bawiła się warkoczem. Maruta sam próbował zagajać, rozmowa szła opornie. Bo też dziw nad dziwy: od kiedy zamieszkali na półwyspie po raz pierwszy, nie licząc tego początku, kiedy dziecko chcieli odebrać, zaszedł do nich ten niepojęty człowiek. Na małą przybyły ani spojrział. Ha, ha, dobrze Maruta wiedział co się pod tym kryje: lis! Pytał tylko rybak czy szyper gotów do drogi, czy czego jeszcze nie potrzeba, głupio tak w święto wychodzić, prawda, prawda, ale co robić: plan. Przy mrozach zapowiadają lawice i dobrą pogodę, czyli warto się napić pod przyszły fang.

Można się napić, to fakt. Lekka ręka raz i drugi otarł usta, tamten wciąż nie patrzył w stronę dziewczyny, taka chytróść mogła odjąć mowę. Załaskotały brwi, zakwiliło też u nasady głowy; poczuł pomieszany z rybem swądem zapach tytoniu, dobiegło strzykanie śliny i jakieś słowa o wodzie słodkiej i słonej, o nozdrza uderzała woń teru, w uszach zagrzmiął huk co porwał sosnę. Coraz lepszą ręką podnosił kieliszek, a kiedy rzucił okiem na własną dłoń, niespokojnie leżącą na stole, dojrzał, że była zupełnie biała.

Musiał wyjść z izby. Zbiegł skarpą ku wodzie, nachylony długo mył twarz. Wrócił zasapany, nie zastał już Węgosza.

— Gdzieś łaził, chcesz znowu pluć krwią! Całkiem zgłupiał, rozebrany w pole lata!...

— On?

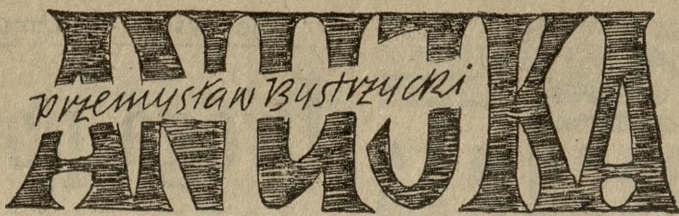
— Poszedł.

— Jak: poszedł? Tak sobie poszedł i już...

— A no nie wiem, ciebie szukam.

Przywołał Anukę. Spojrzał jej prosto w twarz, nie pytał o nic. Przesłała mu pachnieć mlekiem, szedł od niej oddech fermentujących jabłek.

Zaszedł do drugiej izby. Raz jeszcze przepatrzył podróżny kuferek, zamarudził trochę. Tymczasem stara posprzątała ze stołu. Obie położyły się spać. Wtedy wrócił ze świeczką. Dokładnie zasłonił okno, ukłakił przy łóżku w nogach by nie obudzić śpiących i zaczął się modlić. Wstał, zdjął ze ściany święty obraz, trzymał przed twarzą. Lecz nie przechodziło. Od dołu to szło, obejmowało nogi, tułów. Kiedy dotarło do szyi, zaczął dusić. Oddychał wolno, aby nie robić hałasu kaszlem. Zobaczył wreszcie jaśniej żonine plecy i twarz małej, śpiącej na kraju materaca. Czerwień objęła oba ciała i pościel, zachód słońca daje podobne odbicia na wodzie, tyle czerwieni widywał na niebie dawno, dawno, dobrze przed początkiem dokuczliwego wiatru i szumu. Nie było już wtedy żony, uszła z chałupy. Gwiazdy pogasiła płonąca strzecha, dęło smugami iskier. Patrzył z lizjery lasu. Schylił się teraz po przyniesiony ciężar. Otworzył wieko kufka. Na tyle odzyśkał świadomość, że przysunął pień pod piec, oba warkocze Anuki ułożył na drzewie, głowę jej lekko poddał by ciąć płytko. Skrupulatnie machał siekierką. Nie poczuła, choć dwa razy mu przyszło, spytała tylko przez sen: „Tatko już jedzie?”... Włożył ostrze z powrotem do kufka, wszystko zo-



OPOWIADANIE

stało tak, jak w ostatniej chwili rzeczy się w izbie ułożyły. Narzucił kapotę, założył czapkę i poszedł do portu.

Co robić z tym biednym człowiekiem nawiedzonym przez szal? Uczynić go ośrodkiem świata? Niech wśród lasu zaraz stanie, wieja go z lekka kołysze, trudno mu utrzymać się na nogach o własnych siłach. O właśnie, myślałem o tym: oprzeć się powinien o pień sosny, rozchwianej górą. Gwiazdy nadal tańczy, wędrują drzewa, jakby w pędzie przemierzał Maruta leśną przecinkę. Dolega to! Niczego nie wolno tknąć. Dotyk wywołuje ból. Ośrodek świata musi stać.

Zbuntowałby się Maruta na podobną myśl: stać, wie, że zatrzymać mu się nie wolno, że musi dojść do portu, jakże zawieść swoich; śnieg kępuje stopy, powietrze tnie uszy, a idący las zastępuje drogę. Od nawilgłej kory dobiegał znajomy zapach partyzancki, przywracał spokój. Maruta pewnie pobłądził, bo kiedy pokazał papiery i przekroczył bramę przystani, wszyscy już byli na miejscu. Z magazynu zabrał rybackie buty, waciankę, brezentową bluzę i co tam trzeba. Zeskoczył na pokład.

Ruszyli o świcie w sporej grupie, większe jednostki na przedzie, ich Kt-114, średniej mocy, pyrkali z samego tyłu. Pogodny wiatr piekł w brodę, na wantach mróz wydłużał sopte, które przy gwałtowniejszym przechyle spadały z suchym trzaskiem na dek.

Starannie pilnowali miejsca w zespole. Czasem Maruta gwałtownie przerzucał koło sterowe i wymijał spore kawały lodu błądzące po morzu. Oddawał wachkę i zlażył na jedzenie, pił dobre kakao, jadł wędzoną kiełbasę i chleb z masłem. Tak sobie nawigowali w czwórce. Wychodzili do burty, liczyli zmiany, do reszty uporządkowali luki i obserwowali horyzont. Nie rozmawiali z bazą ani z szyperem - przewodnikiem; ten ostatni widoczny jak na dłoni, prowadził największy kuter. Jeden z Marutowej załogi nazwał przewodnika komodorem. Było trochę śmiechu: „Komandorem pewnie?” — nie dowierzali. „Nie, komodore”. „Skąd to głupstwo?” „Z wojny, z konwojów atlantyckich”. Ech, znowu wojna, czy nie można dać temu spokój!

Sund nadeszły drugiego zmierzchu, nagnał mgłę. Siadł więc do aparatu, pogadał, kazali iść ostrożnie, z syreną, wszystkich wolnych wystawiać miał przy relingu dla obserwacji. Nocą prawie stanęli. Dali pełne światła, nie spał nikt. Huczały w cieśninie głosy dalekie i bliskie, ciężkie, nawilgłe od mgły, gwiazdy sygnałów przewiercały opary. Motor przycichł, przestały drgać deski pod nogami, w cieplejszym tu powietrzu popadywały krople. Nastrajał Maruta słuch do szmeru ciemności, z nadzieją rzucał okiem wzdłuż burty; wypatrywał trzy przyjazne cienie, wychylone za poręcz, wyupiornione światłem latarni zawieszanej pod rejką.

Woda brała go w posiadanie. Nie chciał burzyć tej ciszy w sobie i może dlatego kazał zatrzymać dieśia. Noc trwała bez końca. Wacht właściwie nie zmieniali, stał każdy

gdzie mu wypadło stać, i tak odkrywał świat zwilgotniałych sygnałów ostrzegawczych o pomieszanych dystansach.

Z nastaniem dnia stąpali ostrożnie po pokładzie, aby nie wypaść, mgła bowiem, zamieniona o brasku w mżawkę, wyslizgała deski. Słońca nie dostrzegli, zmleczniało za to dokoła i dusiło w piersiach.

Odżył aparat: podobno w przodzie opar czczył. Z rozmów między kuterami zrozumieli, że reszta idzie już na pełnym skoku. „A co będzie ze mną?” „Dołączaj!” „Jak dołączaj?” Nie pójde przecie z zawiązanymi oczami!” „Bo co jest?” Dobre sobie! Jakże mogli nie wiedzieć, że zamglenie niesło od zachodu? Ich opuściło, jego trzyma: szedł ostatni w szeregu. „Nic nie jest — odkrzyknął w mikrofon — mleko w powietrzu, wantów nie widać!... „W tym stanie rzeczy kazał przewodnik wracać do bazy po opadnięciu wilgoci. Po jaką cholere ma sam się pchać małym pyrkaczem w taki wielki Atlantyk.

Bądź co bądź czekali jeszcze. Nawet dobrze zrobili czekając, bo kiedy trochę przewiał, oponcza wyonila przed nimi czarny liniowiec nieznajomej bandery, niedaleko, ot tak, na dobre machnięcie rzutka, akurat na ich kursie. Trabił olbrzym? A kto nie traibił, każdy traibił kto w Boga wierzy i niósł przed dziobem rybackiego pietra.

Sami też nieśli pietra, faktu tego nie można ukryć. Koło południa wybiekniwały krańce horyzontu kapalo z rejek, spokojne kilwatry przekreślały już dookolne wody. Sund odżył. Oni stali wciąż. Bo na jaki kurs położyć się? Czy północny, ku spustoszałemu po tamtych widnokregow, czy też wysforowanym o pół dnia drogi towarzyszom pokazać rufę z kiepskim światłem, ochryple zatrąbić sobie na odwrót, i chykiem dojść do zachodnich wybrzeży, a potem trzymając się płycizn, tylko płycizn, jak dawniej, szukać powrotnej drogi?

Maruta zawałał załogę. Siedli na linach i skrzynkach. Dwóch nie gadało nic, za to ten „od komodora” powiedział, że wracać z pustymi beczkami to jest wielki rybacki wstyd.

— Co radzicie? — mógł-że na nich liczyć?

— Razem z tamtymi. Może dojdziemy ich, a jeśli nie dojdziemy, zawsze się będzie bliżej „kupy”. Pamiętam jak w konwojach. Jeśli przyszła torpeda i trafiła...

Przerwali mu, patrzyli na Marutę. Musiał podjąć decyzję.

— Bliżej swoich, mówicie, lepiej.

— Co to, szyper nie wie?...

Powiódł wzrokiem po wodzie, tam jakby kto oliwę rozlał. W jego stronach nad Jeziorem Wielkim, podobny spokój nazywano, zdaje się, flau-

ta, choć nie był tego pewien, przecież przeszło tyle lat. Tutaj mówiono „stil”.

— Dobra, nie ma co, zapuszczamy!

Odziewali z cieśniny, weszli w Kattegat. Zostały z tyłu widoczne z obu stron brzegi. Zanim minęła doba, zmienili kurs na zachodni a wody na trochę głębsze. Trzymali ład od sterborty. Dwa dni trawerowali Morze Północne. Stała tam cisza mroźna i słoneczna, rejki na nowo obrosły szklanymi wąsami. Koło Pentland nawiązali łączność z gromadą, która dwa dni już buszowała po łowisku.

— Maruta, tutaj? Miałeś wracać. Jakżeś to zrobił?

— Ano, dołączyłem się do Norwegów, i tak powoli...

Rzeczywiście, spotkali norweskie kutry, podłynęli w ich szyku. Opuścili Norwegów po czterdziestu ośmiu godzinach w całkiem dobrym nastroju, myśleli że dobią już do tamtych.

Tymczasem po nawiązaniu łączności, od ciepłych nurtów Golfstromu przyszedł sztorm. Wieja nie z tych największych — taka sobie do czterech stopni według Beauforta, ale zepchnęła trochę z kursu, zoczyli więc w poszukiwaniu przybrzeży. Pod wieczór kołysanie ustało równie gwałtownie jak przyszło, wiew suszył napięte liny, krwawy zachód topił słońce. Nad Marutą zawisł niepokój. Drganie pokładu przycichło, motor utrudzony sztorowaniem rzekł się służby bez uprzedzenia, nawalił w ostatnich blaskach dnia. Wtedy jakby wszedł między załogę Węgosz. Zawsze kiepsko dbał o kutry, za nie miał Marutowe napomnienia, zresztą in-

Eugeniusz Pauksza

Majowe prezenty

Trudno inaczej niż uroczymi prezentami nazwać piękne pozycje, jakie ukazują się na rynku u progu dorocznego Dni Oświaty. O najciekawszych i najbardziej poszukiwanych książkach starał się będę w najbliższych przeglądach informować jak najwcześniej, aby można je było „złowić” na kiermaszach...

Godnym uczczeniem 400-sejnej rocznicy urodzin Szekspira jest wspaniała PIWowska edycja „Dzieł Dramatycznych” tego genialnego poety. Całość edycji liczy sześć tomów, wydanych w miłą formację na doskonałym cieniulim papierze, a zawiera pełny zbiór tekstów dramatycznych Szekspira w danych, wrosłych w tradycję przekładach Koźmiana, Paszkowskiego i Ulricha. Jest to wydanie krytyczne, zaopatrzone w aneksy, omówienia recepcji Szekspira w Polsce, szkic biograficzny i rzeczowa przedmowa wstępna. Nakład, niestety, niewielki.

Z zakresu „szekspirowskiego” otrzymujemy, również staraniem PIW w słynnej poetyckiej „serii celofanowej” „Sonety” Szekspira w opracowaniu i ze wstępem Jerzego S. Sito. Jest to pierwsze, pełne u nas wydanie głośnego cyklu liryków miłosnych, powstałych we wczesnym, jeszcze przedhamletowskim okresie twórczości, obejmujących 154 utwory o charakterze autobiograficznym.

PIW przygotował i drugą niespodziankę — pełne, czterotomowe wydanie świetnego cyklu powieściowego Louisa Aragona „Świat rzeczywisty”, obejmującego zatem kolejno „Dzwony

ni też się skarżyli na brak pieczy nad sprzętem. Odcinał teraz ich od tamtych, nie pozwalał dołączyć. Kto przewidywał, że takie długie ramiona może mieć przewodniczący.

Długo różowało niebo i mroczniało bezwietrzne powietrze. W ciemnościach, jak zwykle, podniósł się horyzont, skupił nad głowami gwiazdy, uciszające rozbujany top masztu.

Maruta miał trudności z ustaleniem położenia. Jeśli wzywał przez radio-telefon pomocy, to bez nadziei, że ich odnajdą. Przypuszczał, iż wody te nieczęsto odwiedzają jednostki szybkie. Golfstrom niósł krype ku wschodowi. W ciepłych prądach mało spotykali lodu. Trzeci dzień dnia o brzasku spoza oparu dojrzał wyspę, wychodzącą ku nim górami i skalnymi żarzewionymi urwiskami. Fale podsunęły plażę, woda przejaśniała, zachrobotało pod stęga, poupadali. Kt-114 usiadł na przybrzeżnej płyciźnie. Mogli schodzić na ląd.

Zdumiewała zieloność. Pokryte o tej porze soczystą trawą wzgórza falowały, strumyk przyskał świetlistą tęczą znad głazów. Połąć ziemi wydawała się niezamieszkała.

Szli pochyłościami ku wschodowi, wokół trwał spokój bez dymu nad horyzontem. Ta wyspa zachodnich brzegów Szkocji odzeglowała od uczęszczanych szlaków, zdana na wysokie przypływy, ciepłą falę i wiatry. Brakowało drzew, rzadkie krzaki jałowca podierały omszałe murki na stoku, niżej sine ruiny zamku zatrzymywały cień i resztki porannej mgły. Zatooczka podchodziła tuż, tuż, brama z gotyckim frontonem wyrastała jakby z wody.

Bazylei”, „Piękne dziełnice”, „Pasazerów z dylizansu” i „Aureliana”. Dopiero przy całościowej lekturze cyklu można obserwować stadia rozwojowe talentu autora, zważywszy, że pierwsze dwa człony ukazały się w latach trzydziśtych, a dwa ostatnie powstały w latach wojny, sumując w sobie pełną dojrzałość pisarza w widzeniu spraw jednostki i całych społeczeństw, dojrzałość opartą o widzenie zjawisk z płaszczyzny zaangażowanego i wprowadzonego w nurt spraw wojennych i ludzkich wnikliwego obserwatora.

„Ossolineum” obdarzyło nas kilkoma istotnymi pozycjami z dziedziny sztuki. Kapitałnym tekstem źródłowym dla dziejów historii sztuki będzie krytyczne szczegółowo i przejrzyste opracowanie przez Marię Rzepińską studium Leone

Z KSIĄŻKĄ NA TY

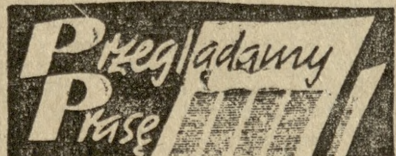
Battista Albertiego „O malarstwie”. Dzieło Albertiego, reprezentującego swoją postać wczesnohumanistyczny ideał harmonijnego rozwoju fizycznego i duchowego, wszechstronnie wykształcony, doskonale wprowadzony we współczesną sztukę, staje się w swoim bujnym XV wieku, w którym się przyszło mu żyć, jednym z najgorliwszych propagatorów nowej sztuki, a jego rola w dalszym rozwoju tak malarstwa jak rzeźby stanie się w przyszłości olbrzymia. Na fle swojej epoki praca Albertiego jest zaskakująca świeżością i rozległością horyzontów — lektura jej dzisiaj natomiast staje się wyjątkowo ciekawym studium o epoce i w ogóle o sztuce, niekiedy w pewnych partiach bardzo nawet aktualnym.

Drugim rarytasem z wrocławskiej oficyny jest praca Macieja Masłowskiego „Studia malarckie Wojciecha Kornełowego Stafflera Kraków—Rzym”. Postać Stafflera, „brata duchowego wieszczów romantyzmu”, „niedosłanego malarza mesjanizmu polskiego”, jak i jego wpływ na nurt sztuki romantycznej, ciągle jest u nas zbyt mało znany, podobnie jak i dzieła artysty, choć cenne studium poświęcił mu przecie prof. Tad. Dobrowolski. Ślad ciekawą, sumienną ale i z pasją pisaną pracą Masłowskiego staje się jakby nowym odkryciem Stafflera, zwłaszcza w przedmiocie jego poszukiwań za własnym wyrazem twórczym.

Skoro jesteśmy przy „Ossolineum” chciałbym też zasygnalizować chociażby ukazanie się w druku albumowego wydania monograficznego „Dolny Śląsk”, pod redakcją Wład. Bielowicza. Poza rysem historycznym jest to przede wszystkim obraz współczesnego, żyjącego polskością regionu, obraz uduchowiony w tekście przejrzystymi sprawdzianami, a ubarwiony doskonałymi w doborze zdjęciami w ilości z góra 300. Piękna to wizytówka Dolnego Śląska na XX-lecie.

I na ostatek sygnał z ostatniej chwili. Oto PIW w tajemnicy przygotował pierwsze pełne polskie wydanie wielkiego zbioru opowiadań Ernesta Hemingway'a pt. „49 opowiadań”, w przekładach Bronisława Zielińskiego oraz Miry Michałowskiej i Jana Zakrzewskiego. Nie trzeba wspominać, jak ten tom będzie rozchwytywany. Życze zatem pomyslnych kiermaszowych łowów!

LEKTOR



1 MAJA

Tygodniki dużo miejsca poświęcają świętu 1 Maja. „Kultura” w artykule wspanym pisze:

„Klasa robotnicza jest w tym uroczystym dniu solenizantem dla całego narodu, świadomym prostej prawdy, że o jego pozycji i autorytecie, o tym, czym on jest w oczach świata, decyduje w pierwszym rzędzie sprawność i trud ludzi produkujących. Wzbożenie wyrazu święta robotniczego polega także na tym, że głęboko w tradycji tkwiącym akcentem internacjonalizmu proletariackiego towarzyszy poczucie patriotyzmu polskiej klasy robotniczej we własnym kraju rocznicę tej manifestującej.”

NAJBLIŻSZA PIĘCIOLATKA

W „Polityce” znajdujemy artykuł Artura Bodnara pt. „1970 — mocne i słabe strony”. Autor patrzy właśnie pod tym kątem widzenia na naszą najbliższą 5-latkę. Nadchodzące lata wysuwają bowiem przed nami rozległy pro-

gram działania. Jest on tym trudniejszy, że jego ciężar spoczywa na jakościowej stronie naszego rozwoju.

„W 1970 roku — pisze A. Bodnar — (...) rozmiary wytworzonego dochodu narodowego wyniosą około 20 mld. dolarów, a więc ok. 600 dol. w przeliczeniu na 1 mieszkańca. Będzie to poziom, zbliżony do dzisiejszego w CSRS i NRD i znacznie wyższy niż obecnie we Włoszech. (...) Rozmiary inwestycji w gospodarce narodowej w latach 1966—70, przewidziane obecnie w skali 840 mld. zł (łącznie z rezerwą 40 mld. zł), uznawane są powszechnie za górną granicę możliwości inwestycyjnych w kraju. Suma to niebagatelna — ok. 30 mld. dolarów.”

PANORAMA ZAWODÓW

W tym samym wydaniu „Polityka” rozpoczęła artykułem Józefa Smietalskiego druk publikacji pod hasłem „Panorama zawodów”. Celem tego cyklu jest pokazanie, kto z czego żyje dzisiaj i kto z czego żyć będzie za lat 5—10. Redakcja chce ukazać społeczno-zawodową strukturę kraju, który w ciągu 20 lat z rolniczo-przemysłowego przekształcił się w przemysłowo-rolniczy. Autor sygnalizuje między innymi dość poważną rozbieżność między świadomością presliżu niektórych zawodów a potrzebami gospodarki, konkretnym zapotrzebowaniem społecznym.

„Chcemy więc pokazać — pisze J. Smietalski — panoramę zawodów i zachęcić do podejmowania decyzji, zgodnych z potrzebami gospodarki i interesami młodzieży. Jak wiadomo, w najbliższych latach wyboru drogi życiowej będzie dokonywać ponad 1,8 mln. młodzieży. (...) Rzecz w tym, by wyboru dokonali trafnie. Od tego bowiem zależy będzie byt ich własny i rodziny, zależne będzie i stosunek do wykonywanej pracy.”

Przygotowując cykl, „Polityka” zwróciła się do specjalistów, którzy wypowiedzieli się na temat zapotrzebowania w różnych zawodach, na temat tzw. modnych zawodów i zapotrzebowania w przyszłości. Wypowiedzi są bardzo interesujące. Radzimy ten cykl uważnie czytać.

CHEMIA I LUDZIE

To tytuł artykułu Bogusława Reicharta w „Tygodniku Demokratycznym”. Autor pisze o naszych wielkich kombinatach chemicznych i udziela odpowiedzi na pytanie dlaczego postawiliśmy na chemię.

„... Polski przemysł chemiczny zajmuje dziś w świecie ósme, a wśród krajów obozu socjalistycznego, po Związku Radzieckim i NRD, trzecie miejsce. Wartość rocznej produkcji naszego przemysłu chemicznego osiąga 50 miliardów zł. 11 zakładów-gigantów — to prawdziwi mi-

liardrzy. (...) W okresie ostatnich lat czterdziestu, roczna wartość produkcji przemysłu chemicznego na świecie wzrosła 20-krotnie: od 5 do 100 miliardów dolarów. (...) W naszych, polskich warunkach, aktualnie najważniejsze zadanie brzmi: nadal dotrzymać kroku tej światowej tendencji.”

O chemii pisze też w „Tygodniku Kulturalnym” Zenon Kraska [„Azoły chlebem pachnące”]. Tematem reportażu jest budowa kombinatu azotowego w Puławach i późniejsza jego rola w podnoszeniu wydajności rolnictwa.

ZADANIA NAUCZYCIELI

„Głos Nauczycielski” publikuje artykuł wiceprezesa ZG ZNP Mariana Rafała pt. „ZNP przed IV Zjazdem Partii”. Autor pisze o wynikających z tego przedzjazdowych zadaniach, które czekają polskie nauczycielsko.

„Inicjatywa ognisk związkowych w tym okresie powinna się w szczególności koncentrować na: organizowaniu i pobudzaniu dyskusji w środowiskach pracowników oświaty i nauki nad tematami zjazdowymi ze szczególnym uwzględnieniem (...) doskonalenia wyników pracy dydaktyczno-wychowawczej. (...) popularyzowaniu też zjazdowych wśród dorosłego społeczeństwa, (...) wyzwalaniu inicjatyw młodzieży. (...) w zakresie czynów na rzecz szkoły i środowiska...”